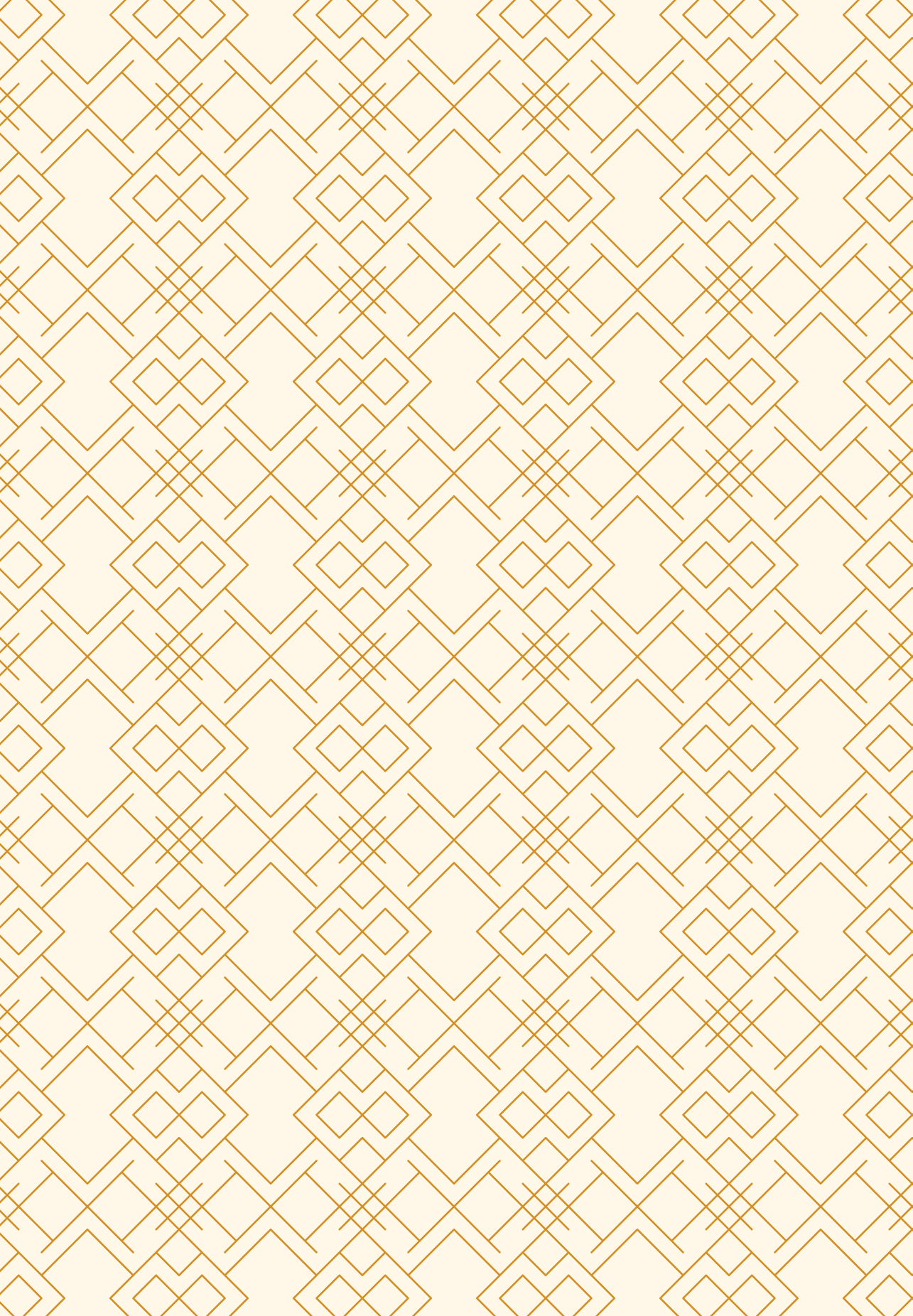
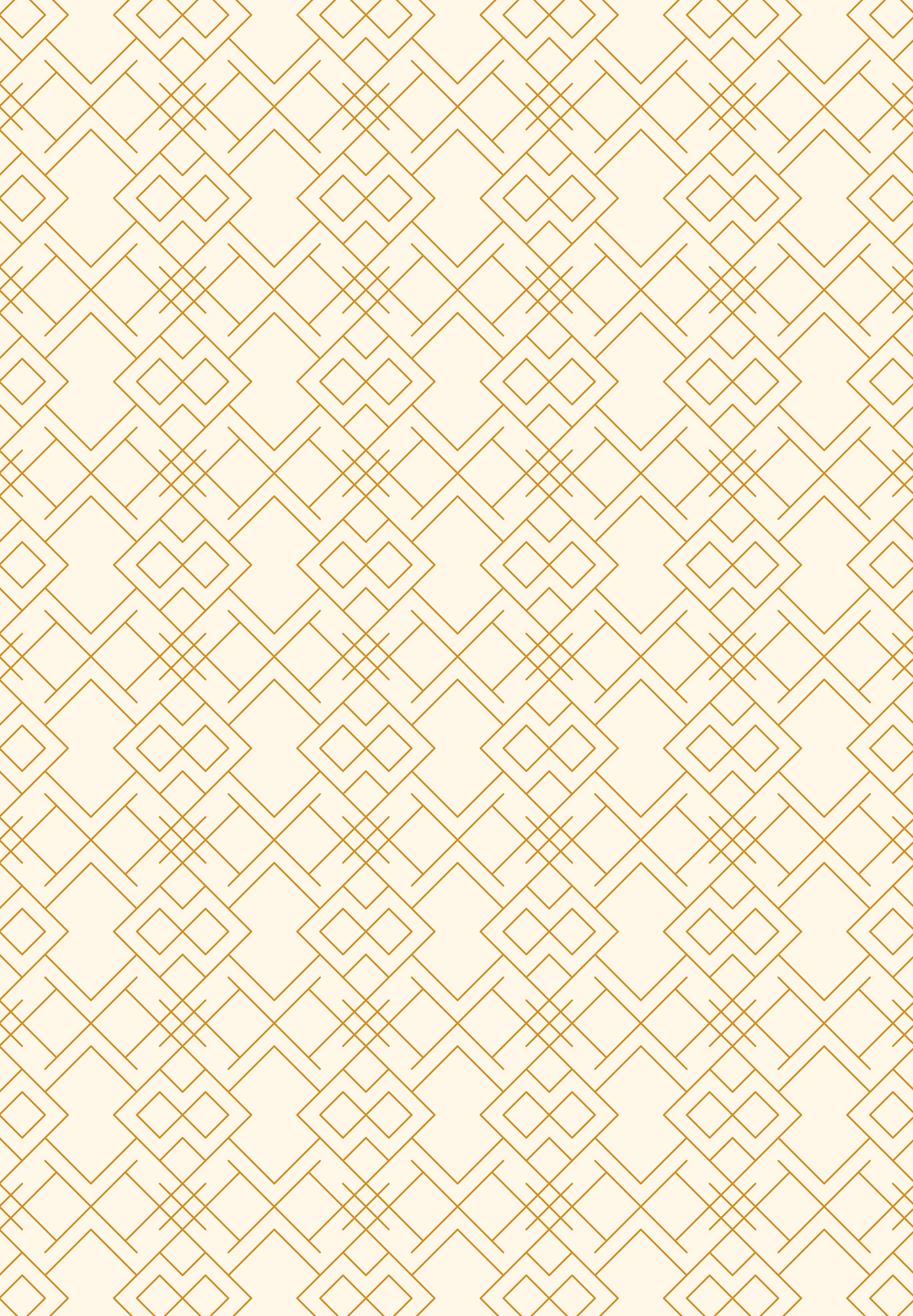


ZOFIA NAŁKOWSKA



GRANICA





Zofia Nałkowska

Granica

Redakcja:
Agnieszka Antosiewicz

Korekta:
Agnieszka Antosiewicz, Maria Zagnińska

Ilustracje:
Łukasz Ciaciuch

ISBN 978-83-7517-645-2

© Copyright for this Edition by Jan Kujawski

© Copyright for this Edition by Wydawnictwo GREG® Sp. z o.o.
Kraków 2021

Wydawnictwo GREG®
ul. Klasztorna 2B
31-979 Kraków
tel. (12) 680 15 50
www.greg.pl

Księgarnia internetowa: www.greg.pl

Znak firmowy GREG® zastrzeżony w Urzędzie Patentowym RP.
Wszystkie prawa zastrzeżone.

Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana
lub przedrukowana bez pisemnej zgody Wydawnictwa GREG®.

Okładka:
Łukasz Ciaciuch
Wykorzystano ilustracje: Asya Bikmaeva/Shutterstock.com

Skład i łamanie:
Pracownia Register

Krótką i piękną karierą Zenona Ziembiewicza, zakończoną tak groteskowo i tragicznie, dała się teraz od strony tego niedorzecznego finału rozważać całkiem na nowo. Jego powszechnie znana sylwetka, trochę pochylona, przemykająca prawie co dnia długim, odkrytym autem przez ulice miasta, jego twarz o garbatym profilu i ascetycznie wydłużonej dolnej szczęce, dla jednych przyjemna i nawet rasowa, dla innych jezuicka i nienawistna, jego zachowanie się w różnych poszczególnych sytuacjach, jego niektóre zapamiętane słowa – to wszystko otrzymało teraz zupełnie inne kwalifikacje.

Katastrofa, która zwała się na dom Ziembiewiczów, wydawała się niczym nieprzygotowana, jak spadająca na głowę z otwartego okna doniczka z pelargonią. Nie wyjaśniała sytuacji, raczej zaciemniała ją do reszty. Istotne przyczyny wypadku nie dały się łatwo wyrozumieć – zwłaszcza jeżeli wziąć pod uwagę, że Ziembiewicz prowadził życie spokojne i dobrze zorganizowane, nie zdawał się poszukiwać żadnych przygód, a w lepszych kołach towarzyskich uchodził nawet za człowieka bardzo pod każdym względem przyzwoitego – mimo poglądów nowoczesnych i przynależności politycznej raczej nieprzyjemnej.

Umiera się w byle jakim miejscu życia. I dzieje człowieka zawarte między urodzeniem jego a śmiercią wyglądają niekiedy jak nonsens. Któż bowiem jest w możności o każdej chwili przemijającej pamiętać, by mogła ona być na wszelki wypadek jego gestem ostatnim? Śmierć nieraz chwytą człowieka *in flagranti*¹, zanim zdążył przedsięwziąć jakiegokolwiek środki ostrożności. Najbardziej logiczny plan życia, najściślej wyprowadzona formuła jego wartości rozpada się nagle, gdy ujawniona zostanie ostatnia niewiadoma.

W wypadku Zenona Ziembiewicza było to może tylko zobiektywizowanie. Bo póki żył – od strony siebie, umieszczony pośrodku swego życia, zabezpieczony swą świadomością i nią jakoś usprawiedliwiony – wyglądał na pewno inaczej. Miał swoje zasady, racje i motywy postępowania w taki właśnie sposób, nie inny. Nawet stosunek do może przystojnej, ale ostatecznie całkiem pospolitej dziewczyny musiał mieć jakiś sens w jego rozumieniu.

¹ *In flagranti* (łac.) – na gorącym uczynku; przenośnie: w krępującej sytuacji.

Tylko przypadek podstawiał Justynę na to miejsce. „Ach, cóż za świństwo, cóż za świństwo” – mruczał.

Zresztą tamtejsza wierność wobec Elżbiety też daleka była od jakiegokolwiek egzageracji²¹. Wszędzie są kobiety. I głód erotyczny nurtuje pod wierzchem życia, nasycą je barwą i zarem, jest mięsem czerwonym dla jego skóry. Można go tłumić, wekslować na inne tory, nadawać mu różne nazwy i kwalifikacje. Przecież, przywalony kodeksem i obyczajem, bije w głębi pulsem złej rewolty, huczy ciągłą upartą gotowością wybuchu. Zenon w listach do Elżbiety mówił o swej pracy i postanowieniach, złorzeczył „kulturze Zachodu”, we wszystkich szczegółach gotowej i spetryfikowanej²². Ze schematów wolności, równości i braterstwa sypią się trociny. Nad wszystkim leży melancholia zamierania i rozpadu. W obawie przed śmiercią nagłą cały ten świat zdaje się tylko o tym marzyć, by dano mu ginąć powoli śmiercią naturalną, by mu nie przerywano konania. Pisał, że tęskni do kraju, gdzie wszystko jeszcze jest możliwe, wszystko zaczyna się od początku. Wielka przerwa między wczoraj i dzisiaj wytworzyła próżnię powietrzne, centra niskiego ciśnienia, gotowe do wchłonięcia nowych treści. Nagie miejsca życia, wytarte do cna przez niewolę i wojnę, czekają akcji i decyzji. Są to tereny, gdzie nowa organizacja życia może powstać bez żadnej konieczności niszczenia.

Tak pisał późnymi wieczorami i zaraz wychodził z hoteliku, by wrzucić list do skrzynki, umieszczonej w podnóżu latarni. A później gorącym podziemiem, pełnym zapachu mydlin, jechał na Montparnasse. Na tarasach kawiarni, pod zadrukowanymi okapami kolorowych markiz, w dojmującym, wilgotnym chłodzie nocy siedzieli wokół żelaznych piecyków ludzie ubrani w letnie palta, jakby spełniając nieodparty nakaz uświęconej obyczajem udręki, i pili białą kawę albo piwo. „To jest nocne życie Paryża” myślał zjadliwie Zenon, który także nie miał pieniędzy na inne. Wchodził przez taras do wnętrza kawiarni i w zadymionej, secesyjnym mahoniem i lustrami wyłożonej sali, wśród sennych dziewcząt, zmarzniętych i głodnych, wynajdywał sobie jakąś przygodę. Tak było. Wystarczyło przecież, gdy stosunek do tych „upadków” był właściwy. Odbywały się niejako poniżej rzeczywistości, nie osiągały poziomu, na którym przemilczenie staje się kłamstwem. Pozostawały w podziemiu życia, już w samym założeniu uważane za niebyłe.

Ale ta Justyna dzisiaj nie dała się już podciągnąć pod tę kategorię. Tutaj właśnie, w tym samym mieście, zaraz w dniu przyjazdu, niejako na samym wstępie do nowego kursu życia – to była grubsza sprawa. Romans, który trwał już przedtem i ostał się wobec wszystkiego. A teraz wracał tylko w swą dawną, boleborzańską kolej, chciał dalej istnieć.

Złorzeczając sobie, Zenon wreszcie powtórnie wybrał się z domu. W sieni na dole zawiesił klucz od pokoju na haczyku z numerem szóstym, odpowiedział na ukłon

²¹ *Egzageracja* – przesada, nadawanie czemuś zbyt dużego znaczenia.

²² *Spetryfikowany* – utwalony w określonej formie.



Justyna niespodzianie wstała, jak osoba wyrobiona, która chce przerwać niewłaściwą rozmowę.

– Dziękuję. Ale ja nic nie potrzebuję, proszę pani. Mnie nikt nie może pomóc, jeżeli sobie sama nie poradzę.

Elżbiecie zdawało się, że zobaczyła jej uśmiech. Jej duże oczy, bardziej niebieskie od płaczu, jej usta niemądre, z dziecinnie poderwaną górną wargą – to wszystko z każdą chwilą stawało się bardziej obelżywe. Była ładna we łzach, policzki miała różowe i gorące. Nie można było tego nie widzieć, nie można było o tym zapomnieć. Nie można było tego wytrzymać – jej rąk gołych po pachy, jej szyi grubej i okrągłej, jej nóg, obutych tylko w białe, płócienne pantofle.

Nagle, chcąc jak najlepiej, z lękiem w sercu, Elżbieta powiedziała:

– Niech pani nie myśli, że on jest czymś związany. On jest wolny. Ja za niego nie wyjdę.

Gdy mówiła te słowa, czuła rosnące przerażenie. Była zdumiona próżnią, w którą staczała się ta jej ofiara. Ale sama znajdowała się jakby wysoko i daleko, jakby już nieobecna.

– To dziecko musi żyć – dokończyła szeptem.

Teraz dopiero niebieskość w oczach Justyny stała się straszna, jakby przeciwna naturze. I niewiarogodny też wydał się jej krótki krzyk. Zwłaszcza, że zaraz potem powiedziała zwykłym zupełnie głosem:

– Nic mi nie potrzeba, proszę pani, nic mi nie potrzeba.



XVI

Elżbieta miała klucz od ogrodu i klucz od bramy. Przed świtem wypuszczała go sama na ulicę – dziwną, bezludną, odbarwioną z zieleni, zamkniętą na wszystkie bramy i okiennice. Te noce były krótkie, ciepłe i suche, upływały w ogrodzie na ciężkim, gorącym szczęściu.

Dnie były pośpiechem i oczekiwaniem. Zenon jadł ponury obiad w Hotelu Polskim. Czechliński wszedł niespodzianie, jeszcze zakurzony z drogi. Przyjechał prosto z Pieszni z młodym Tczewskim.

– No co? Robimy naszą sprawę? – ryczał wesoło, rozsiadając się wygodnie przy stole Ziembiewicza. Hrabia okazał się zdecydowany, pełen najlepszych chęci i nadziei.

Gdy Zenon, ciepły i senny od paru kieliszków chambertina, wrócił do siebie na górę, Justyna czekała na niego. Przywitali się jak obcy ludzie. Nie widział jej od czasu, kiedy u niego była ze swoją wiadomością, na wszystkie te dni zesłała mu całkiem z oczu. Nie wiedział nawet, że straciła służbę.

– Co u ciebie słychać? – spytał.

Miał twarz całkowicie zamkniętą przez współczucie, troskę i wyraźne znudzenie. Ale słuchał uważnie.

– Może ci co potrzeba? – podjął. – Jak się czujesz? Czy wszystko dobrze? Gdy tylko coś postanowisz, to pamiętaj w każdej chwili, że tu jestem. Że jestem gotów...

Głęboko zamyślona, powiedziała:

– Teraz jeszcze nie, może potem – i dodała, że najbardziej chciałaby posady w tym sklepie. – Ale może też potem.

Nie spytał jej o adres, nie prosił, żeby usiadła. Była delikatna, mówiła cicho, powoli, prawie się nie uśmiechając.

– Jak się czujesz? – powtórzył.

– Nic mi nie jest takiego.

Nastało króciutkie milczenie. Zenon myślał, że ani przez chwilę dłużej nie zniesie jej obecności. Widziała, że jest niezadowolony.

– Ja bym nie była przychodziła, ja bym ci dała spokój, żeby nie jedna rzecz – odezwała się Justyna niepewnie.

– Co takiego? – spytał skwapliwie, gotów do wszelkich świadczeń.

– Żeby nie to, co mi powiedziała ta twoja narzeczona...

Łagodne słońce przesłaniało mgłą świetlistą dalsze plany perspektywy. Elżbieta szła rozwartym łukiem alei w stronę parku. Powstrzymywała niecierpliwie kroki, by nie wyprzedzić Karola, który szedł obok.

– On jest co dzień na powietrzu, nawet w niepogody, to go hartuje... – mówiła idąc. Na jej wołanie Marynka odezwała się wreszcie z samego końca ogrodu. Była tu zamknięta zwykle furtka w siatce żelaznej, prowadząca do parku. Wózek z dzieckiem stał tuż obok furtki, a Marynka rozmawiała przez siatkę z jakąś młodą dziewczyną. Gdy się zbliżali, tamta odeszła prędko. Zatrzymała się jednak na zakręcie alei.

Elżbieta niespokojnie zajrzała pod budkę wózka. Dziecko spało.

– Z kim Marynka tu rozmawia? – spytała podejrzliwie.

– Nie wiem, kto ona taka. Chciała się przypatrzeć Walusiowi, tom go jej podwiozła. Ale cichutko, że się wcale nie obudził.

Była rażna, pewna siebie, nie traciła kontenansu. Mówiąc, wesoło przyglądała się Karolowi.

– Niech Marynka nigdy nie odjeżdża tak daleko. Miejsca koło domu jest przecież dosyć.

Elżbieta mówiła prędko i nieprzyjemnie. Za ogrodzeniem widziała kilkoro dziewcząt ze szkoły. Przechodząc, zaglądały do ogrodu, jak ona sama kiedyś.

– Z obcymi nie trzeba rozmawiać – ciągnęła niecierpliwie. W głosie swoim rozeznawała ten sam ton, który przybierała ciotka Cecylia, gdy mówiła do służby. – Zawsze po obiedzie może sobie Marynka spacerować, z kim chce. Ale przy dziecku nie trzeba żadnych obcych, żeby go oglądali albo dotykali.

Marynka broniła się żywo.

– Niech już pani będzie spokojna. Gdzie ja bym komu dała go dotknąć! Postąła, postąła, zapytała się tylko, czy to jest dziecko państwa Ziembiewiczów, i poszła...

Wracając ku domowi, Elżbieta sama popychała wózek przed sobą. W jakiejś chwili obejrzała się z niepokojem i zobaczyła tamtą. Stała jeszcze na zakręcie parkowej alei i patrzyła w tę stronę. Gdy Elżbieta obejrzała się drugi raz, już jej nie było. Pomyślała sobie, że to złudzenie. Że nic w tym nie ma dziwnego, gdy ktoś pyta o dziecko, czyje jest. W mieście wiadomo przecież, kto tu mieszka.

– Czy Marynka na pewno jej nie zna?...

– Pierwsze ją widzę – odpowiedziała ze zgorzaniem. I Elżbieta miała pewnośc, że mówi nieprawdę.

– Nie dziw się, nie miej mi za złe – zwróciła się do Karola, nagle przypominając sobie jego obecność. Usiłowała się opanować, ale jej uśmiech był zły i sztuczny. Dopiero przy domu, na widok Zenona uczuła się bezpieczna.

Pani Kolichowska nieczęsto mogła tu przyjeżdżać i małego Walusia widziała zaledwie trzeci raz. Przyglądała mu się w milczeniu, wzruszona i oporna zarazem, całkowicie zdezorientowana w swym zakłóconym macierzyństwie. Pani Żancia natomiast nachylała się nad wózkiem z bliska i wymawiała przy tym różne kobiece



XXIV

W niecały miesiąc po polowaniu w lasach Bramańskich odbył się u Ziembiewiczów wielki raut, który zgromadził najlepsze sfery towarzyskie miasta i okolicy i zbliżył społeczeństwo miejscowe z nowymi władzami miejskimi. Nie tylko w zaprzyjaźnionej „Niwie”, ale i w obu pozostałych, mniej ostatnio przychylnych Ziembiewiczowi gazetach znalazł się opis szczegółowy tego pamiętnego przyjęcia, przy czym zgodnie i w jednobrzmiących wyrazach podnoszono „czarującą gościnność” Elżbiety, jej urok oraz toaletę.

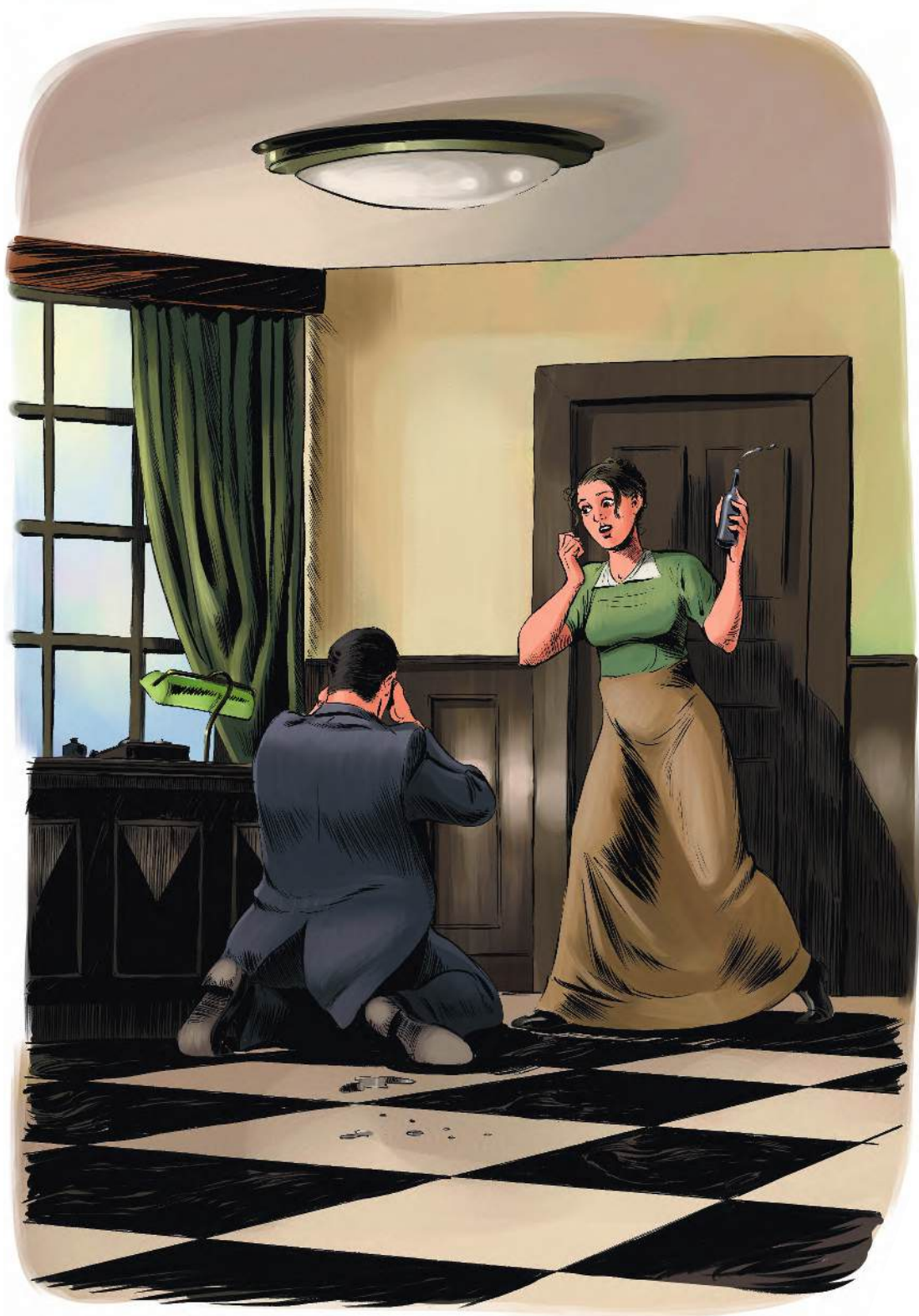
Stary lokaj w liberii otwierał drzwi do wielkiej sieni z długą ławą dębową i mnóstwem wieszadeł, obliczonych na wiele dziesiątek osób. Od sufitu i ze ścian płynęło światło. Przedstawiciele duchowieństwa, wojskowości, sądu, policji i administracji, w sutannach, frakach i mundurach, wchodzili w towarzystwie swych kobiet przez szeroko otwarte podwoje, po posadzce cieplej i miękkiej od dywanów, do jednego salonu, drugiego salonu, biblioteki z płonącym kominkiem i wreszcie sali jadalnej, gdzie na wydłużonym stole znajdował się bufet. W całym wnętrzu rozstawione były kwiaty z miejskiej oranżerii. Na mahoniowych stołach, konsolach, na podłodze, wszędzie kwitły wielkich rozmiarów różowe azalie. Elżbietę widać było w perspektywie amfilady³⁴. Ciasno owinięta ciemną suknią, stała za progiem drugiego salonu i każdemu na inny sposób mówiła, że się cieszy, iż przybył.

Gdy w trzy miesiące później zaszły wiadome tragiczne wypadki, całe miasto odtwarzało sobie w pamięci różne szczegóły tego wieczoru. Wspominano słowa mówione przez prezydenta i jego żonę, ich zachowanie się, ich wygląd. Wspominano między innymi, że w tym dniu rozeszła się po mieście wiadomość o zamknięciu huty Hettnera i nowych aresztowaniach między robotnikami. Ci zwłaszcza, którzy późniejsze wypadki łączyli z zaburzeniami wśród zwolnionych pracowników huty, utrzymywali, że wszystko zaczęło się tego wieczoru. Mówiono, że niepokój prezydenta był widoczny, a we wzroku, jakim wodził za młodą, nic nieprzeczuwającą żoną, tajiła się zapowiedź nadchodzącego nieszczęścia.

Ziembiewicz istotnie był niespokojny. Mimo wzrastającej popularności praca jego nie była wolna od troski. Od początku Zenon wykazał na swym stanowisku

³⁴ *Amfilada* – szereg pomieszczeń potoczonych ze sobą drzwiami położonymi na jednej linii.





SPIS TREŚCI

Rozdział I	5
Rozdział II	11
Rozdział III	17
Rozdział IV	22
Rozdział V	31
Rozdział VI	37
Rozdział VII.....	45
Rozdział VIII	54
Rozdział IX	65
Rozdział X	76
Rozdział XI	85
Rozdział XII	88
Rozdział XIII	97
Rozdział XIV	104
Rozdział XV.....	110
Rozdział XVI	121
Rozdział XVII.....	125
Rozdział XVIII	130
Rozdział XIX	138
Rozdział XX.....	147
Rozdział XXI	154
Rozdział XXII	164
Rozdział XXIII.....	172
Rozdział XXIV	182
Rozdział XXV	190
Rozdział XXVI	196
Rozdział XXVII	205
Zakończenie	213

„Umiera się w byle jakim miejscu życia.
I dzieje człowieka zawarte między
urodzeniem jego a śmiercią wyglądają
niekiedy jak nonsens. Któż bowiem jest
w możności o każdej chwili przemijającej
pamiętać, by mogła ona być na wszelki
wypadek jego gestem ostatnim? Śmierć
nieraz chwyta człowieka in flagranti, zanim
zdążył przedsięwziąć jakiegokolwiek środki
ostrożności. Najbardziej logiczny plan życia,
najściślej wyprowadzona formuła jego
wartości rozpada się nagle, gdy ujawniona
zostanie ostatnia niewiadoma.”

 Kolorowa
Klasyka

ul. Klasztorna 2B, 31-979 Kraków
www.greg.pl

ISBN 978-83-7517-645-2



9 788375 176452 >